

Izabella Kochanowska²⁵

PRZEZ ZAMEK LUBELSKI DO CWK W FORDONIE²⁶ (FRAGMENT WSPOMNIENÍ)

Na przełomie 1948/1949 roku studiowałam na pierwszym roku prawo na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. W tym czasie prowadziłam intensywne, wielokierunkowe starania o ratowanie aresztowanego, cichociemnego, majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory” - dowódcy zgrupowania WiN, groziła mu bowiem kara śmierci. W tej akcji za przyczyną jednej z jego siostr, która mieszkała we Francji i wstawiała się czynnym uczestnictwem w tamtejszym ruchu oporu, brali udział między innymi prezydent Francji i angielska królowa. Niestety wszystkie starania okazały się bezowocne. Z drugą siostrą „Zapory” Marią Kubiakową, której mąż zginął w Katyniu, wysyłałyśmy do więzienia paczki. Jednocześnie czyniłyśmy starania w kręgu adwokatów, dzięki czemu pani Maria uzyskała jedno widzenie z bratem. Było to wkrótce po nieudanej próbie jego ucieczki z celi więziennej pawilonu ogólnego na Mokotowie. Mój konspiracyjny dowódca „Zapora” został stracony w dniu 7 marca 1949 roku w więzieniu Mokotowskim w Warszawie²⁷, o czym jeszcze wówczas nie wiedziałam.

W dniu 1 maja 1949, do opuszczenia domowego zacisza zdopingował mnie przejazd grupy jeźdźców na koniach²⁸. Na ulicy podeszła do mnie w towarzy-

stwie milicjantów Otylia Pawlakowa, której mąż, sklepikarz w Łopienniku za współpracę z Niemcami otrzymał wyrok śmierci wykonany przez grupę „Orła” z oddziału NSZ „Cichego”. Pawlakowa mszcząc się za śmierć męża, po wejściu Sowieców jeździła samochodem po terenach naszych walk i wskazywała bezpiecze członków AK. W 1949 roku dosłużyła się w UB stopnia pułkownika.

Nie obawiałam się pogroźek Pawlakowej. Nie ujawniałam się ani w 1945, ani w 1947 roku. Stało się jednak inaczej. Milicjanci zaprowadzili mnie na posterunek MO. Tam przyjechała po mnie limuzyna i zostałam przewieziona do piwnic Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Lublinie. Śledztwo początkowo toczyło się wokół śmierci Pawlaka. Wkrótce zostało poszerzone o moją działalność u „Zapory” podczas obu okupacji; niemieckiej i sowieckiej, oraz o moje wysiłki zmierzające do uratowania go przed śmiercią. Od początku śledztwa, aż do końca jego trwania, przyjąłm zasadę: do niczego się nie przyznawać, nie podawać żadnych nazwisk, nikogo nie wydawać. Zwalać wszystko na niewiedzę, młody wiek i osoby już nieżyjące. Skoro już siedzę, to trudno. To przecież było kolejne nieudane polskie powstanie. Ofiary muszą być zawsze. To jest nieuchronne. Wszak tam gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Widocznie taka jest teraz forma walki. Trzeba pogodzić się z losem i liczyć się z utratą życia. Właściwie, to nie ma czego żałować, bo życie na wolności w dzisiejszych czasach jest zupełnie beznadziejne. Człowiek stąpa tylko po gruzach tego, co nigdy już nie wróci i myślami ogarnia tragedię przeżytych dni - myślałam, starając się psychicznie przygotować do czekających mnie tortur. Modliłam się, żeby je przetrzymać. Przesłuchania trwały bez końca. Dzień i noc i znowu dzień i noc. Bez jedzenia i picia. Kazali mi stać godzinami na jednej nodze z rękoma do tyłu i twarzą zwróconą do ściany. Oprawcy zmieniali się co osiem godzin. Wielokrotnie musiałam pisać

²⁵ Izabella Kochanowska; ur. 1926, córka Jerzego Kochanowskiego h. Korwin i Ireny z Berezowskich h. Sas właścicieli majątku ziemskiego Łopiennik gm. Chodel, pow. Janów Lubelski. Od 1943 roku w AK - ps. „Błyskawica”. Po ukończeniu kursów ogólnowojskowego i sanitarnego, działała w łączności. Po wkroczeniu Sowieców pozostawała w Łopienniku (wobec władz jako córka dworskiego kowala) i była łączniczką w Ruchu Oporu AK a następnie do 1947 r. w Zgrupowaniu WiN cichociemnego mjr Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Okresowo w 1945 r. była również sanitariuszką w oddziale leśnym NSZ „Cichego”.

²⁶ W dobie PRL, Centralne Więzienie Kobiectwo w Fordonie, podobnie jak więzienie męskie we Wronkach cieszyły się wyjątkowo złą sławą i były przeznaczone przede wszystkim dla skazanych w procesach politycznych.

²⁷ Wraz z „Zaporą” zostało straconych 5-u oficerów ze sztabu zgrupowania. Jedynym sądzonym w tym samym procesie i skazanym na dożywocie był mec. Władysław Siła-Nowicki spokrewniony z Feliksem Dzierżyńskim.

²⁸ Życiowym hobby Izabelli była jazda konna, którą uprawiała jeszcze do niedawna zgodnie z kawalerskimi

tradycjami rodu (ojciec Jerzy i stryj Jan byli ochotnikami 1918-1920, pierwszy walczył w 7 Pułku Ułanów, drugi w słynnej Jeździe Jaworskiego - ostatnim „prywatnym” oddziale kawalerii polskiej).

swój życiorys i wielokrotnie odpowiadać na te same pytania. Najczęściej pytali o to skąd znam „Zaporę”, co robiłam w ostatnich latach i jaką działalność prowadziłam. Przystawiali mi do skroni pistolet i straszili śmiercią. Grozili gwałtem. Wszystko to nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Największą męką było pragnienie.

Była piękna czerwcową noc. Przesłuchiwali mnie kolejny dzień i noc na trzecim piętrze. Przez otwarte okno widziałam fragment rozgwieżdżonego nieba. Czułam zapach kwitnących roślin. - Może skoczyć z okna, albo zastrzelić się z broni leżącej na biurku śledczego? Chyba zdążę - pomyślałam i nagle stanęła mi przed oczami moja matka. - Ona nie przeżyje mojej śmierci - westchnęłam i porzuciłam myśl o samobójstwie.

Po dwóch dniach stójki spuchły mi nogi. Udałam, że jest mi słabo i zemdlałam. Oprawcy cucili mnie wiadrem wody z kranu, dzięki czemu odświeżyłam wargi i zaspokoilałam pragnienie. Po jakimś czasie zażądałam wyprowadzenia mnie do ubikacji. Tam spuściłam wodę, nabrałam ją w dłonie i piłam. Czułam, że bierze mnie gorączka. W końcu zażądałam jedzenia. Straszylałam prokuratorem. Skutek był taki, że przynieśli mi słonego śledzia. Wściekła, rąbnęłam nim w pysk jednego z katów. Przesłuchujący mnie śledczy obiecał wówczas, że odeśle mnie do celi, ale najpierw muszę podpisać protokół stwierdzający, że należałam do organizacji i przyznaję się do winy.

Stoję dalej. Ze zmęczenia, braku snu i napięcia nerwowego, chwieję się na nogach. Jak na urągowisko stoję przed mapą na której chorągiewkami zaznaczone są wszystkie kwatery „Zapory” we wsiach położonych w terenie działań Zgrupowania. Czasami w jednej wsi wbitych jest kilkanaście takich czerwonych znaków. - Boże! Ja nic nie mówię, a oni i tak wszystko już z detalami wiedzą! - Pomyślałam.

Śledztwo trwa nadal. To tak zwany „konwojer” - metoda śledcza zmierzająca do złamania psychiki i wyczerpania sił przesłuchiwanego. Mija trzeci dzień i czwarty, nic się nie zmienia. Bez przerwy to samo. Pytania padają z szybkością gradu kul. Nie odpowiadam.

Jestem już cała spuchnięta. Wokół mnie kałuża krwi sączącej się z mojego nosa. Padam. Podrywam się i znowu padam. Straciłam w końcu czucie. Byłam sztywna. Leżałam na podłodze, a oni pochylali się nade mną i wciąż zadawali pytania. Wtedy wstąpiła we mnie jakaś straszna siła. - Nawet gdybyście mnie



Izabela Kochanowska po powrocie z Fordonu - 1955 r.

kroili na kawałki, i tak nic wam nie powiem - pomyślałam bardzo przytomnie.

Zawlekli mnie w końcu do piwnicy, na cement. Tam koleżanki z celi robiły mi okłady z zimnej wody. Po konwojerze ponad dwa tygodnie nie mogłam chodzić. W tym czasie do mojej celi wprowadzili małą dziewczynkę z warkoczem i czarnymi od bicia kablem nogami. Była to Irenka Dybkowska, która opowiadała, że „Uskok” dowódca oddziału partyzanckiego, otoczony w zagrodzie jej babci i wujka Lisowskich przez ubowską obławę, w bunkrze zrobionym w stodole podłożywszy granat pod głowę, odebrał sobie życie. Granat roztrzaskał mu głowę, a mózg „Uskoka” oblepił ściany bunkra - mówiła. Wydarzenie to miało miejsce w dniu Wniebowstąpienia. To trzynastoletnie dziecko przymuszone i eskortowane przez ubowską obstawę, zaniósł „Uskokowi” przed śmiercią kawę przyprawioną środkiem nasennym. Irenka całą noc klęczała i modliła się za „Uskoka”.

I stał się cud. W Katedrze Lubelskiej Matka Boska zapłakała krwawymi łzami.

Jestem już w więzieniu na Zamku w Lublinie. W nocy, słysząc zgrzyt krat, stajemy na oknie i przez szparę poniżej blindy obserwujemy wypełniający się tłumem aresztantów dziedziniec. Przywożą ludzi, których milicja zgarnia całymi grupami na lubelskich ulicach. To „cudacy” - ludzie ciągnący do Lublina na wieść o cudownym płaczącym obrazie Matki Boskiej. Wkrótce stan więźniów wzrósł znacznie ponad możliwości więziennych pomieszczeń. W celach panował straszny tłok i potęgowana upałami duchota, śledztwa prowadzone są przy ustawionych na korytarzach stołach. Zatrzymani „cudacy” odziani są w cywilne ubrania. Trwające aresztowania nie odstraszały pielgrzymów. Z całej Polski do cudownego obrazu w Lubelskiej Katedrze ciągną tłumy i koczują wokół Zamku. Zwłaszcza w nocy w naszych celach dobrze słyhać odmawiany przez nich różaniec i śpiewane ku czci Maryi pieśni. Słyszą też łomot i *roszkazy* wydawane „cudakom” krzykiem: - Padnij - Powstań! - Kryj się! - Był cud! - Nie było!

Karanie za wiarę trwa zwykle kilka godzin. Potem wynoszą zemdlonych ludzi. Oprawcy mają tyle roboty z „cudakami”, że więźniowie polityczni muszą poczekać na swoją kolejkę. Na Zamku siedzi ksiądz Malec z parafii katedralnej, były więzień obozów hitlerowskich i zakonnica, która pierwsza ujrzała płynące z oczu Matki Boskiej łzy i zapisała ten fakt w księdze parafialnej. Jest strasznie torturowana i wyśmiewana. Prowadzący śledztwo doprowadzili ją do tego, że nie jest w stanie poruszać się o własnych siłach. Siostra ta przebywała z nami w celi. Zabierano ją często na śledztwo. W końcu zaczęła opowiadać, co dzieje się w celi. Nie mogła kłamać, bo to nie było by zgodne z jej zasadami moralnymi. Wracała potem i leżała krzyżem na ziemi przepraszając Boga. Boże Narodzenie 1949 roku. Przez korytarzowych, czyli funkcyjnych - udało się przemycić komunikanty - opłatki wyrzucane przy rewizji paczek, które otrzymywał ksiądz Malec. W Noc Wigilijną podawane z celi do celi alfabetem Morsa, popłynęły gorąca modlitwa i kazanie wygłoszone przez uwięzionego księdza Malca, wielbego duchownego parafii katedralnej. - Jest nowo narodzony Jezus Chrystus! Małutka dziecina już czuwa nad nami w stajence i bierze nas w obronę. Ona da nam siłę przetrwania w wierze, uzbroi w siłę i odporność na najgorsze chwile. Nie jesteśmy sami! Jego Matka modli się za nas! - mówił ksiądz. Ten pokarm duchowy podniósł na duchu wszystkich uczestniczących w tym przedziw-

nym misterium. Wzbogacił nasze myśli, ukoił rany, dał nadzieję i wiarę w lepszą przyszłość.

Pierwszy proces „cudaków” zgromadził wiosną 1950 roku taki tłum ludzi, że do rozprawy nie doszło. Drugiej rozprawy nie było. Sprawę zakończyło porozumienie zawarte pomiędzy władzami a Kościołem. Zatrzymani „cudacy” zostali zwolnieni.

Nadal nie przyznaję się do znajomości z „Zaporą” i żądam z nim konfrontacji. Z Informacji Wojskowej z Warszawy przyjechał śledczy. Będę przesłuchiwana. Do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa publicznego wiozą mnie łażnikiem zaopatrzoną w gniazdo karabinu maszynowego i pod eskortą żołnierzy KBW. Musiało to wyglądać strasznie, bo ludzie na widok konwoju przystawali zegnając się znakiem krzyża świętego. Doszło do konfrontacji z „Opalem” zastępcą „Zapory” z czasów pierwszej okupacji. Konfrontacja przebiegała uroczystie. Zeznania „Opala” sprawiły, że z podejrzanej stałam się oskarżoną. Mając świadka swoich „zbrodni”, wszystko było stracone. Nie muszę się nawet przyznawać do winy - pomyślałam i ogarnęła mnie wściekłość. Nic nie opowiadałam. Wykonałam tylko w stronę „Opala” nieprzyzwoity gest, bo rozdzielał nas długi stół.

Wróciłam do celi już jako więzień innej kategorii. Ciężkie warunki śledztwa pogarszało moje pochodzenie, które - według kodeksu karnego komunistów - samo w sobie „pracowało” na lata izolacji od społeczeństwa; budziło nienawiść, zawiść posiadania dobrobytu, zemstę za nie popełnione winy, dodatkowe szykany oddziałowych. Każda inspekcja w celi zaczynała się od wywołania mojego nazwiska i wypominania mi gorzelni i młynów, których zresztą rodzice nigdy nie posiadali. Do tego dochodził mój upór, brak chęci przyznania się, skruchy i błagania o litość, czyli „ogólna postawa” więźnia, jak wtedy mówiono. Mój obrońca z urzędu, Kobuszewski, przywitał się ze mną dopiero na sali sądowej. - Przyznaj się do wszystkiego, dziecko, dostaniesz łagodniejszy wymiar kary, powiedział i wręczył mi czekoladkę. - Czyżby był obrońcą ławy sądowej? - Pomyślałam.

Obrona nie miała w tamtych czasach żadnego pola do popisu. Jeśli chodzi o moją obronę, broniłam się sama, uzasadniając moje zainteresowanie karą śmierci „Zapory” tym, że jako adept sztuki prawniczej, byłam przeciwna stosowaniu kary śmierci, jako środka niehumanitarnego. Sąd Wojskowy w Lublinie skazał mnie wyrokiem z dnia 3 marca 1950 roku na 6 lat



Izabela Kochanowska na ulubionej klaczy Berince – 2006 r.

więzienia²⁹. Wyrok odbywałam na Zamku w Lublinie a następnie w Fordonie.

Nie było nawet czasu dobrze się nad tym wszystkim zastanawiać, bo kolejne wydarzenia usuwały sprawę wyroku na boczny tor. Zaprowadzono mnie na ogólną celę, tak zwaną „kwarantannę”. Było tam mnóstwo kobiet; zwiniętych z ulicy prostytutek, handlaerek i bimbrowniczek, które cały czas coś jadły, bo przy rewizji nie odbierano im artykułów spożywczych. Kłótnie, arogancja, przekleństwa, pomstowanie na władze i ten jakiś „wiew” wolności szedł za nimi na każdym kroku. Ja nie pragnęłam wtedy wolności. Niosła za sobą dramat wspomnień. Byłam całkowicie pogodzona z otaczającą mnie rzeczywistością, z tą nową egzystencją, światem bezpośredniego okrucieństwa, terroru i brzydoty. Mimo, że wśród otaczających mnie kobiet można było zarejestrować objawy zachowań pozytywnych, pragnęłam gorąco, aby jak najszybciej znaleźć się wśród moich rówieśniczek, więźniarek politycznych z wysokimi

²⁹ W uzasadnieniu wyroku czytamy: „Przy wymiarze kary Sąd przyjął jako okoliczność obciążającą pochodzenie oskarżonej”. Wcześniej, w opisie personaliów była wzmianka o jej pochodzeniu z rodziny ziemiańskiej.

wyrokami. Nawet wiedząc, że będzie wśród nas kapuś.

Życie w więzieniu to nie tylko brak świeżego powietrza i ciasnota pomieszczeń, prymitywne warunki sanitarne, ustawiczny niepokój wywołany ciągłymi rewizjami w poszukiwaniu ukrytego przez więźniarki kawałka ołówka lub igły oraz sprzątanie celi zasypanej siewką wysypaną przez strażniczki z sienników. To także ciągle przetasowania: wędrowki z celi do celi mające utrudnić nam nawiązywanie przyjaźni oraz nieustanne szykany oddziałowych i brak lekarskiej pomocy. Ale mimo to martyrologia cierpienia nie była w naszym codziennym życiu zjawiskiem dominującym. Pozytywne jednostki czerpały z uwięzienia wiele wyższych wartości: bogactwo ducha, odnowę człowieczeństwa, wewnętrzne uszlachetnienie i bezpośredni kontakt z Panem Bogiem. Nigdy nasze codzienne modlitwy nie były tak żarliwe jak tam, za kratami. Przynosiły ulgę, wewnętrzne skupienie i dawały radość z istnienia cierpienia jako formy walki o niepodległość Ojczyzny. Za więziennymi kratami powstawało jak gdyby inne, nowe życie, życie ludzi wyrzuconych ze świata wolności, ze świata walki o codzienny byt w realiach komunizmu.

Między więźniarkami rosło zrozumienie i chęć obrony tego, co ludzkie i godne ludzkiej postawy: wzajemna pomoc w celach i rozmowy podtrzymujące na duchu. Za kratami zawiązywały się wieczyste przyjaźnie, wyrażane między innymi dzieleniem się artykułami spożywczymi z wypisek (paczki zlikwidowano pod koniec 1950 roku).

Fordon koło Bydgoszczy - królestwo ludzkich, szlachetnych dusz, dźwigających wspólnie koszmar wieloletnich wyroków; świat podziemnego ruchu oporu, który został przeniesiony za zakratowane i zasłonięte blindami okna więziennych murów. To było jedno precudowne uczucie miłości Ojczyzny, które różnymi drogami doprowadziło do izolowania istot, ich wzajemnego poznania i wspólnego doznawania tych codziennych dolegliwości, które niwelowała modlitwa. Za jej przyczyną w tych obolałych sercach rodził się cień nadziei na przyszłą sprawiedliwość. Może już w następnych pokoleniach?

Nic tak nie łączy jak wspólne cierpienie i wspólne zrozumienie, rodzące się przez szereg dni, miesięcy i lat. W tych niedożywionych, bladych twarzach, tkwił widoczny, jakiś potężny duch przetrwania. Na przeciw stalinowskim metodom wyniszczenia, upodlenia każdego człowieka, unicestwienia jego osobowości i odebrania mu prawa do odruchów wrodzonych istotom wyższego gatunku. Tu rozgrywała się walka o ludzką duszę z szatanem, który wcielił się w komunistyczny reżim. Życie więźniarek można więc śmiało nazwać zwycięskim, drugim życiem. Kiedy dyżur miała „lepsza” oddziałowa, lub w dni świąteczne, rozlegały się wieczorami ciche śpiewy Ukrainek siedzących w związku z zabójstwem generała Świerczewskiego. W ich pięknych i dźwięcznych głosach, brzmiała tęsknota za wolnością, ból rozłąki z bliskimi i rozpacz z powodu uwięzienia. W środowisku Polek organizowałyśmy sobie chwile „intelektualne”: recytowałyśmy wiersze, śpiewałyśmy partyzanckie pieśni i w nieskończoność służyłyśmy wspomnieniom, co bardzo zbliżało nas do siebie. Trzeba jednak było wciąż pamiętać o instytucji kapsusia, z tym, że wiedza nasza o nich była doskonała. W więzieniu w Fordonie pracowałam, co było niemal cudem dla więźniarki politycznej. Prace dostałam po przesłuchaniu mnie przez naczelnika więzienia, kata inteligencji. Zakapowała mnie „Iskra” z naszej celi, która doniosła o opowiadanych przeze mnie kawałach politycznych. Dzięki moim kochanym lubelskim koleżankom, które zgodnie stwierdziły, że to

nie ja, lecz właśnie „Iskra” opowiadała takie kawały, udało mi się uniknąć znajdującej się w suterenie izolatki z kapiącą po ścianach wodą. Wezwana przez naczelnika, rzuciłam mu w twarz kilka wulgarnych kawałów, zastrzegając, że znam tylko takie. Moje kawały wywołały poruszenie widoczne w kąciakach ust najwyższej więziennej władzy, która postanowiła skierować moje zainteresowania „na inne tory”. - Dostałam nakaz pracy w pracowni czapek, gdzie realizowane były zamówienia dla wielu formacji mundurowych.

Dziennie produkowałyśmy wiele setek czapek. W dużej pracowni były stanowiska, na których każda z więźniarek wykonywała przydzielone jej czynności. Na końcu sali brakarz przyjmował gotowe już wyroby. Zaczynało się od krajalni, gdzie pracowałam w gronie kilku koleżanek przez cały czas pobytu w Fordonie, z wyjątkiem pobytu w szpitalu w Grudziądzu z powodu gruźlicy. W pracowni stała gilotyna o napędzie elektrycznym, której nóż ciął na kawałki całe bele materiału, a z nich, po przyłożeniu formy, krojący wykrawał poszczególne części składowe (denka, kwatereki itd.). Na zewnątrz, na ułożonych warstwach materiału, rysowało się kredą różne wykroje. Do mnie należało znaczenie przodu i tyłu każdej z kwaterek, segregowanie, wiązanie i oddawanie do magazynu z półkami, skąd były rzucane na taśmę.

W krajalni nie było w oknach blind. Przez okna widziałyśmy ludzi czekających na widzenie lub spacerujących nad Wisłą. Przy obróbce materiału powstawało wiele kurzu, który utrudniał oddychanie. Spacerów nie miałyśmy, bo w krajalni trzeba było pracować 12 godzin na dobę, a często nawet dłużej, gdyż trzeba było zapewnić ciągłość pracy na taśmie produkcyjnej, przy której więźniarki pracowały na dwie zmiany, tylko po 8 godzin dziennie. Dźwigałyśmy też ciężkie bele materiału z magazynu.

W więzieniu nie ma nic gorszego, jak zachorować na wolność. Wtedy z więźniem dzieją się różne straszne rzeczy. - Taki więzień za cenę wolności zrobi wszystko. Amnestia w 1952 roku rozbudziła nadzieje na wolność. - Nie była jednak przeznaczona dla więźniów politycznych. Były więc wypadki samobójstw. W celi, na boku pryczy, na pończosze powiesiła się jedna z koleżanek. Wspomniana poprzednio „Iskra” była krojczynią. Miła, o śniadej twarzy, piękna czarnooka kobieta miała romantyczną naturę. Potrafiła klęczeć i przy księżycu recytować wiersze Słowac-

kiego i Mickiewicza. Odsiadywała duży wyrok. Za wszelką cenę chciała wyjść na wolność. Najpierw kapowała. Aby wydobyć z więźniarek zeznania, chodziła nawet z nimi do karca. Wreszcie poszła do naczelnika więzienia i oświadczyła, że ponieważ przejrzała na oczy i zrozumiała błędy swojego życia, nie może teraz siedzieć w celi z reakcjonistkami, wrogami ludu, że jej przemiana jest podstawą do zawieszenia kary i warunkowego, przedterminowego zwolnienia. Przyjechał nawet prokurator. Oświadczyła mu to samo. Nie pomogło. Nadal siedziała. Wtedy z rozpacz podłożyła na naszych oczach

rękę pod gilotynę. Fontanna krwi zalała pomieszczenie. „Iskra” zemdlą. Zrywała założone jej opatrunki. Przewieziono ją do szpitala wolnościowego w Bydgoszczy. Tam zakapowała życliwe dla niej otoczenie - portier, siostra szpitalna i lekarz dostali wyroki. Ale to też nie była droga do wolności. „Iskra” opuściła więzienie w 1956 roku. Jej ręka pozostała na zawsze sztywna.

Z więzienia w Fordonie zostałam zwolniona w 1955 roku.

[Do druku przygotował i opatrzył przypisami
brat autorki Jan. L. Kochanowski]